

# Stefan Treugutt

---

## Literatura - społeczeństwo - tradycja

---

Rocznik Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza 24, 5-14

---

1989

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## ARTYKUŁY

*Stefan Treugutt*

### LITERATURA — SPOŁECZEŃSTWO — TRADYCJA

Ostatnie dni powstańczej Starówki. Miron Białoszewski wspomina:

„Czekaliśmy na wysadzenie mostów. Ze specjalnym hukiem. [...] Czekano się na jeszcze jedną symboliczną, złą a przesadzoną nowinę. Na koniec Zygmunta Wazy na kolumnie. Bo stał jeszcze wciąż. Długo stał. Aż doszło do nas z gazetki, że zwalili go”<sup>1</sup>.

Był wtedy gdzieś w piwnicznych ruinach ulicy Miodowej, kilkaset kroków od Placu Zamkowego i Kolumny. W powszechnej zagładzie miasta, a i sam na wszelki sposób zagrożony, zapamiętał Białoszewski sprawę Kolumny — tę wiadomość z powstańczej gazetki — opowiadał o tym, na koniec zapisał. Dlaczego? Czy dlatego, że miał zdumiewająco precyzyjną pamięć? Chyba nie tylko dlatego. Król Zygmunt przed Zamkiem to coś więcej niż jeden ze stołecznych pomników. To strzelisty znak, tradycja widomie postawiona na straży miasta i kraju. Jakże miał nie pamiętać, że „jest u nas kolumna w Warszawie”, ta sama, „kolumna z placu jak struna kamienna”, że „Zygmuntowy w chmurze miecz”, zrymowany z „Pospolita—rzecz”, jest przypomnieniem i drogowskazem... Następne zdania cytowanej relacji świadczą wyraźnie, że Białoszewski był doskonale świadom emblematycznej ważności kolumny — i jej zwalenia.

„Nie uchronili nas nasi królowie. Ani myśmy nie uc ironili naszych królów. Tego, co po nich. Wszystkiego. Wszystkiego”<sup>2</sup>.

Siła opiekuńcza króla, stróżującego nad placem — nie na placu, ale właśnie nad placem, Zamkiem, nad romantyczną Polską — została złamana, miejsce uświęcone doznało profanacji. Bezskuteczność tradycji: on nas nie uchronił. Nasza bezsilność: my nie uchroniliśmy.

*Pamiętnik z Powstania Warszawskiego* i jego odmienność od naszej literatury o wojnie wolno przyrównać — w światowej prozie batalistycznej — do czegoś tak przełomowego, jak opis bitwy pod Waterloo w czwartym rozdziale *Pustelni parmeńskiej* Stendhala. Trzeba więc by rozważyć, na ile Białoszewski, dostrzegając, nazwijmy to, podwójną profanację miejsca symbolicznego, był odosobnionym ekscentrykiem, na ile zaś zaświadczył o odczuciach ogólniejszych?

Mówię o profanacji podwójnej, bo to i w sferze materialnej (kolumna zwalona), i duchowej (nie uchroniła nas, my nie uchroniliśmy) nadrzędny znak

przyniżony został do bruku i zwyczajności. Białoszewskiego nie sposób podejrzewać o jakąś banalną typowość obserwowania — i odczuwania. To oczywiste. Ale był przecież skutecznym łowcą prawdy, mistrzem przebijania się przez nawarstwione konwencje, widział i mówił za innych, mniej bystrych... I ważność Kolumny Zygmunta w systemie znaków narodowych była dla niego oczywista, jak dla wszystkich czułych na głos tradycji rodaków. Jak chociażby dla Bojarskiego i Trzebińskiego, którzy, jak świadczą pamiętnikarze, spotykali się u stóp Kolumny, tam przesiadywali, dyskutowali, tam byli w centrum sprawy. Jak by zareagowali na upadek króla Zygmunta? — można się tylko domyślać, obaj zginęli przed powstaniem. Z innego ulubionego miejsca spotkań tych dwu — przy królu Sobieskim na Agrykoli — widać, że dobór terenu nie był przypadkowy: przed oczyma przyjaciele mieli w Łazienkach, zamkniętych wtedy dla Polaków, gmach Szkoły Podchorążych, przed „oczyma duszy” — czyn Wysockiego.

Literatura okresu wojny, a szczególnie już poezja, obfituje, by posłużyć się określeniem Kazimierza Wyki, w tradycyjne rekwizyty walki wyzwolenczej i w szlachetne eksklamacje. Budulcem takiej literatury użytkowej — a jej agitacyjno-dydaktyczny charakter bynajmniej nie wykluczał najgłębszej nawet szczerości autorów i podobnej szczerości u odbiorców — musi być siłą rzeczy materiał tradycyjny. Uderzać trzeba w znane struny, by zyskać natychmiastowe rozumienie, odzew, współodczuwanie. Dzieje się przecież i tak, że sygnały brzmią głucho, okazują odmienne od pierwotnie im przypisanych znaczenia. Weźmy dla przykładu trzy słowa-klucze z katalogu polskiej tradycji tyrtejskiej, skodyfikowanej przez romantyzm: broń, orzeł, żołnierz. Wszystkie trzy nacechowane pozytywnie, pobudzające energię, działanie. I jak to się ma do znanego wiersza Broniewskiego *Żołnierz polski*? Cytuję fragment zakończenia:

Siedzi żołnierz ze spuszczoną głową,  
[.....]  
bez broni, bez orła na czapce,  
bezdolny na ziemi-matce.<sup>3</sup>

Przesunięcie na skali wartości, takie jak w cytowanym teraz przykładzie, wywołała historia w sposób brutalny i bezpośredni: to efekt wrzesniowej katastrofy 1939 roku. System znaków nie przestał działać, ale doszło do przewartościowania, słowa tyrtejskie zabarwiły się tragizmem, tragizmem tym bardziej przejmującym, im wyrazistszy był ich sens pierwotny. Tragizm i rozpacz w wierszu Broniewskiego nie wynika z konstatacji bezdolnej samotności człowieka: to bezdolny w Ojczyźnie żołnierz bez broni, bez orła narodowego jest tragiczny. Podobnie miała się sprawa z kolumną Zygmunta Wazy. Coś więcej niż barbarzyńskie zniszczenie pomnika, dzieła sztuki. Im bardziej był symbolem trwania narodu, im bardziej był znakiem Warszawy niepodległej i walczącej, tym więcej bólu i okrutnej igraszki historii w jego

obaleniu, w jego „sięgnięciu bruku”, lecz, jak sędzę, zupełnie bez Norwidowskiej ironii i dwuznaczności tego przyniżenia ideału. Tam była podskórna pociecha — w tej ironii. Tu, dla Białoszewskiego, podwojony znak bezsiły: i króla, i narodu. Tradycji i jej strażników.

O utracie mocy narodowych emblematów w czasie katastrofy mówi wiersz — z roku 1943, gdy król Zygmunt stał jeszcze na kolumnie:

Warszawo! Warszawo! Warszawo!  
[.....]  
Patrz: w posąg zaklęty król  
W niebo miecz wznosi, gdzie Bóg...  
Warszawo! Warszawo! Warszawo!  
Przewalają się nad Tobą chmury czarnopłomienne,  
Miecz królewski przebić ich nie może! <sup>4</sup>

Posągowy król, miecz, chmury — na tajnych kompletach gimnazjum Platerówny autorka, Teresa Maria Bogusławska, bez wątpienia czytała Norwida. Miała czternaście lat, gdy pisała wiersz, jakiego fragment tu się przytoczyło; Władysław Bartoszewski nazwał ją „najmłodszą poetką podziemnej Warszawy” <sup>5</sup>. Jej widzenie Kolumny nie jest jednak powtórką z Norwida. Ile w nim jeszcze mitotwórczej mocy wyzwalaia narodowej wyobraźni...?

A bodaj jeszcze dobitniej oddalanie się od romantycznego wyznania wiary odnajdziemy u Broniewskiego, właśnie gdy w jego wierszu pokaże się widmo królewskiej kolumny. U Broniewskiego, u poety organicznie związanego z tradycją, programowo przecież podejmującego w latach wojny dziedzictwo romantyków.

Zadymka w polu. Próžno szuka wzrok  
drogi wśród śnieżnej kurzawy.  
Zamieć po stepie sunie poprzez mrok  
widmem zburzonej Warszawy:

błyska w podmuchach Zygmuntowy miecz,  
niebo nad Polską zagarnia,  
w śnieżnej zamieci Pospolita Rzecz  
i droga do niej, i armia,

śnieg ruinami zasypuje step,  
na śniegu żarzą się zgliszcza, —  
lecz Moc truchleje już i Ogień skrzepl,  
ten co narody oczyszcza!

O, jakże smutno przez ten krwawy świat  
iść cmentarzyskiem idej...  
Wiatr w oczy wieje. Orenburski wiatr.  
Szedłem. Iść będę. Idę. <sup>6</sup>

Inna to Warszawa niż u Norwida. Widmowa. Ruiny i zgliszcza gnane śniegiem przez azjatycki step. Tam świat był podniosłym widowiskiem walki

dobra ze złem — u Broniewskiego jest cmentarzyskiem idei. I jedyne oparcie w wewnętrznym przymusie woli, w obowiązku, który trzeba wykonać: „Iść będę. Idę.” To tylko pozostaje człowiekowi mężnemu, gdy rozpada się jego wiara w nadrzędny porządek, gdy nie chce kapitulować. W tym samym pewnie czasie bardzo młody poeta warszawski, innej zupełnie formacji niż Broniewski, tak kończył wiersz o „kataklicznych nocach”:

Gruzy jak kości rozrąbane dymią.  
Ciągną związane w supły pochody dnem dolin —  
— niosą maleńkie cienie jak mrówki bez imion  
kamień pod nowy babilon niewoli<sup>7</sup>.

Inna tematyka, inny typ kreacyjnej wyobraźni, ta sama niemal — chociaż tak różnym obaj dysponowali doświadczeniem — uczuciowa tonacja, tonacja „dur”, podobny sposób podejmowania dziedzictwa. Romantyczne wychylenie w przyszłość, wpatwienie w to, co będzie, co ma być, przesłonięte ruinami katastrofy, wdeptane w okrutną realność. Cóż bowiem znaczy ów ciąg ludzki u Baczyńskiego, dokąd zmierza? te tak romantyczne w proveniencji „pochody dnem dolin”? To nie marsz w przyszłość, niczego tu z triumfalnej nadziei, bezimienne mrówki ludzkie niosą „kamień pod nowy babilon niewoli”.

Znał i nasz romantyzm gorzką rozpacz kłęski, samotną bezsilność, literatura tamtego okresu powstała pod ciśnieniem niewoli politycznej, kolejnych klęsk militarnych, w emigracyjnym oderwaniu od kraju lub w elitarnym oddaleniu od najbardziej licznych warstw narodu i bez szans — aż do konstytucyjnych reform w Galicji — na jakiegokolwiek trwale zorganizowane działanie w zakresie nawet kultury literackiej. Mamy w zasobach romantycznej tradycji manifestacje postaw przepelnionych rozpaczą, bólem, dość wymienić *Nie-Boską komedię* Zygmunta Krasińskiego, albo najbardziej może pesymistyczny głos patriotycznej liryki tamtego czasu, *Do matki Polki* Mickiewicza. Tak, ale zupełny zdać się mogło pesymizm *Nie-Boskiej* programowo przełamany jest w zakończeniu, w tragicznej zaś ironii wiersza Mickiewicza, tego katechizmu przyszłych męczenników narodowych, odnajdujemy strofę wskazującą mesjaniczny sens cierpienia:

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie,  
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił.  
O Matko Polko! ja bym twoje dziecię  
Przyszłymi jego zabawkami bawił.

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem [...] <sup>8</sup>

Osobiste cierpienie — a i cierpienie zbiorowości — jest dowodem wyróżnienia, rozwiązuje się w planie eschatologicznym przyszłego odnowienia oblicza ziemi. Czy w takim rozmiarze i tak głębokie pociechy dostępne były pokoleniu drugiej wojny światowej? Myśl mesjaniczna w sytuacji europejskiej po Kongresie Wiedeńskim nie była czystą utopią, niewzruszone nadzieje i wiara w szczególną misję narodu współbrzmiała z kluczowym znaczeniem

sprawy polskiej, wiara ta, tak ważna w sferze uczuć i świadomości, podlegała racjonalizacji, nie była czczą fantazją. W spotworniałej karykaturze myśli mesjanicznej obu sąsiedzkich mocarstw, jakie we wrześniu 1939 dokonały nowego rozbioru Polski, zgubił się bez reszty twórczy, zapładniający przyszłość sens takiego myślenia. Nawet patetyczny komplement obcego męża stanu, że Polska jest sumieniem świata, mógł budzić sprzeciw. W psalmie o podtytule *Bunt* tak pisał o tym, w czwartym roku wojny, Aleksander Janta:

a oto z nas uczyniono sumienie świata, które zatrzęsło jego posadami  
choć w głębi serca nie szukali pośród nas żadni wyróżnień podobnej miary  
i cóż, że prosić będziemy: odsuń od nas ten kielich  
bardzo nieznośnej chwały?  
jednak brzmi w Twoich uszach modlitwa zgody na wszystko:  
bądź wola Twoja  
bo Ciebie w tych dniach nikt nie znalazł i nie ubłagał<sup>9</sup>

Lata wojny charakteryzowało wyraźne ożywienie uczuć religijnych, co nieprzypadkowo zbiegło się oddziaływaniem tradycji romantycznych. Trzeba mówić w liczbie mnogiej, gdyż zakres wpływu przekraczał, oczywiście, problematykę literacką. Z szacunkiem i ze wzruszeniem ocenić wypada tamto wojenne przeżycie prawd i pociech religii, była to — być może — pierwsza fala tego wielkiego przypływu, który tak decydująco wpłynął na siłę i spoistość poczucia narodowego w czterech dziesiątkach lat powojennych. Ale znowu, jak ogólnie przy problematyce tradycji romantycznej, nie było to proste nawiązanie do przeszłości, ani tym bardziej repetycja postaw i manifestacji wiary sprzed stulecia. Wszelako właśnie wtedy, gdy przepływ idei od romantyzmu ku „epoce pieców” stawał się widoczny, tym bardziej uderzają w oczy modyfikacje i różnice. Pełna w tym przypadku analogia z literaturą. Odeszła na plan dalszy i przybladła doktryna narodowego mesjanizmu. Romantycy na różny sposób — nie zawsze w trybie ściśle ortodoksyjnym — wyrażali zaufanie do opatrnościowego porządku dziejów; co więcej, eschatologię traktowali instrumentalnie, dochodząc do przeróżnych wariantów synkretyzmu religijno-społecznego, a i politycznego, nazwanego w historiografii idei „religią wolności”. Swoisty triumfalizm wyznania wiary, taki jak w zamknięciu *Chorału* Kornela Ujejskiego, wydałby się, powiedzmy, jakimś jakby nietaktownym anachronizmem wobec Trebłinki, Oświęcimia, masowych deportacji... Przypomnijmy, jak dwuznacznie — i gorzko — reagowali powstańcy 1944 roku, gdy z Londynu nadawano walczącej Warszawie ten właśnie śpiew. Utwór Ujejskiego powstał po strasznej tragedii, zawarł w nim poeta przeżycie autentycznej rozpacz, co tym bardziej podkreśla siłę profetycznego optymizmu ostatniej, szóstej strofy:

I z archaniołem Twoim na czele  
Pójdziemy potem na wielki bój,  
I na drgającym szatana ciele  
Zatknijemy sztandar zwycięski Twój!

Dla błędnych braci otworzym serca,  
Winę ich zmyje wolności chrzest;  
Wtenczas usłyszysz podły bluźnierca  
Naszą odpowiedź: BÓG BYŁ I JEST <sup>10</sup>

W wierszu na pierwszą rocznicę listopadowej rewolucji Wincenty Pol zapowiada, że więzienia Polaków staną się „Miejscem odpustu Ludzkości” i że: „Pielgrzymką do nich pójda narody”.

Kloc on skrwawiony, na którym głowy  
Świętych padały z rąk kata,  
Będzie ogniskiem świątyni nowój,  
Ołtarzem nowego świata! <sup>11</sup>

Skromniej pisano jednak o naszych męczennikach w drugiej wojnie, chociaż spośród nich są już wyniesieni przez Kościół na ołtarze. Różnice najmocniej biją w oczy, gdy wraca temat teodycei, wielki temat Mickiewiczowskich *Dziadów* drezdeńskich przede wszystkim:

Oczy moje,  
[.....]  
Śledzą drogę Twoją w supłach żył.  
Czy wiesz?  
Usta muszę zaciskać surowe,  
Kiedy krzywda małych i prostych  
W oktawach płaczu nad miastem drży.  
[.....]  
Może wołam na próżno i — po co?  
[.....]  
Czy wiesz?  
Żeby ból mój w krzyk jeszcze nie stwardniał,  
Tak po prostu ku śmierci otwarty  
Wiatr młodości  
Łapczywymi połykam ustami. <sup>12</sup>

Wacław Bojarski — bo z jego *Hymnu* cytowany tu fragment — jest odmienny od Mickiewiczowskiej teodycei nie tylko oczywistą różnicą znaczenia i talentu. Inna, zwięzła po stuleciu skala tematu, inny zupełnie dystans wobec drugiej, milczącej strony dialogu, do Stwórcy — a co najważniejsze, inne postrzeganie własnej indywidualności: „I tak idę/Własną małością zrozpaczony” — mówi bohater Bojarskiego, a ta „małość” to nie tylko, nie tyle skromność wobec wielkiego pierwowzoru — Bojarski był tak pewny swych racji, jak tylko potrafi być brawurowa, zuchwała młodość — to „czasu Bóg postąpił krokiem”, pomnożył i pomniejszył ludzi, w czasach romantycznych nawet mniejsi poeci chętnie mianowali się wieszczami, zimą z 1942/1943 w Warszawie nawet Bojarski tak o sobie nie myślał. I taki koniec dialogu, jakże wbrew pozorom odległy od romantycznych antenatów:

Ty, co umiesz  
Ku śmierci łatwej otwierać —  
Ku Wielkości trudnej mnie otwórz. <sup>13</sup>

Kazimierz Wyka — w komentarzu do twórczości Baczyńskiego — pisze o typowym dla całego pokolenia młodych poetów konspiracyjnej Polski procesie, o „przebiciu sobie drogi do tradycji romantycznej”. Wyka znalazł licznych kontynuatorów, a twierdzenie o podejmowaniu w latach wojny tradycji romantycznej stało się obiegowe; są już prace specjalistyczne na ten temat, romantyzm zaś jako tradycja stał się jednym z ważnych narzędzi interpretacyjnych okresu 1939-1945. Okres to bogaty w zjawiska, zróżnicowany pokoleniowo, politycznie, geograficznie — i „jak chcecie”; narzędzie interpretacyjne mało precyzyjne, stosowane z doraźną łatwością przeważnie wtedy, gdy się pokazuje, jak trwały jest wpływ — i żywotność — wielkich romantyków na wiek XX, nie tylko na literaturę, ale i na mentalność narodu, na kategorię ujmowania i rozumienia świata, jednym słowem, na „Polaków portret własny”; oczywiście duchowy, ale i obyczajowy, z odcisniętym piętnem romantyzmu. Nie miejsce tu na rozważenie, na ile to portret raczej z fantazji niż z modelu, i jak dalece przypisywanie tradycji romantycznej takiej zdolności oddziaływania na zjawiska społeczne, że to już nie historia kształtuje literaturę, ale literatura historię, jest dowolnością. Sprawie wszelako tradycji warto się przyjrzeć, postawić — właśnie w związku z okresem drugiej wojny — pytanie, kiedy to tradycja staje się żywa, działa, wpływa, formuje...? Dogodnej dla nas odpowiedzi na to pytanie udzielił bezpośredni świadek „czasu kalekiego”, Kazimierz Wyka. W znanym „Liście do Jana Bugaja”, datowanym na 5 maja 1943 r. i zaraz — drukowanym w konspiracyjnej prasie, Wyka zdecydowanie odróżnia tradycję od tradycjonalizmu i pisze tak:

„Tradycją staje się każda dążność, staje się przeszłość niedawna, kiedy zmusza do wyboru, do czerpania lub odrzucania [...] O prądy z nami współżyjące walczymy, tradycje dobieramy według potrzeb naszych.”<sup>14</sup>

Ważny świadek, celna odpowiedź. Tradycja to to, co się odrzuca lub z czego się czerpie, żywy partner — dodajmy: i oponent — dialogu literatury ze społeczeństwem, ze współczesnym literaturze społeczeństwem. Nie jest to jakieś fatalistyczne dziedzictwo, nasuwające się ciężarem na potomnych, ale wybór, to czerpanie z historii, jak mówił Wyka, „według potrzeb naszych”. Skrótowny zaś wywód Wyki domaga się uzupełnienia takiego oto, że, po pierwsze, odrzucenie jest także wyborem, tyle że negatywnym, bo to też ożywienie przeszłości, polemika z nią. I po drugie, że dobierając tradycję, aktualizując tradycję pozytywnie lub negatywnie, czerpiąc lub odrzucając, zawsze się przekaz tradycyjny modyfikuje. Świadomie lub poza świadomością. Częściej — nieświadomie. Odmienność musi powstać, gdyż jest to absolutnie niewykonalne, by — w rozważanym tu przypadku romantyzmu i literatury wojennej — dawnymi słowami nazwać o sto lat zmienioną realność duchową i materialną. I to jak radykalnie zmienioną, jeśli rzecz o okresie drugiej wojny!



Wszystko się radykalnie zmieniło, aż do poziomu ogólnego poczucia zagrożenia bytu narodowego. A i też, na poziomie tak wysokiej abstrakcji, wiemy, że i naród się decydująco zmienił, i terminy zagrożenia zupełnie były inne, i siły niszczące substancję narodową inaczej działały, i zgęszczenie katastrofy nie do porównania. Zmieniły się społeczeństwo i literatura, jej funkcje — jakże miała się ostać tradycja w tej samej postaci, pierwotnej postaci. Nawet, jeśli w mniej ambitnej — lub użytkowej, dydaktycznej wersji poezji tyrtejskiej — pojawiały się dosłowne niemal cytaty, inkrustacje romantyczne, to także w zmienionym kontekście następowało przesunięcie znaczeń.

Ich w czasie wojny stosunek do tradycji, do romantyków bywał nader różny. Ekstremalne wypadki to intencjonalne utożsamienie się z dziedzictwem — lub programowe odrzucenie.

bo dziś Pielgrzymów jam rówieśnik,  
Wygnańców depczę ślad,  
i muszę donieść ciężar pieśni  
na tamten brzeg mych lat.<sup>15</sup>

To Broniewski. Podejmujący wprost tradycję tyrtejską, podobnie jak Słonimski w wierszach wojennych, jak — inaczej jeszcze — Tuwim w *Kwiatach polskich*, jak wielu innych. Ale — dla przykładu — analiza różnic *Kwiatów polskich* w porównaniu z *Beniowskim* daje bez wątpienia więcej, lepiej charakteryzuje, niż katalog wpływów. Broniewski na wojennym szlaku przywołuje „libańską ciszę na pomoc”, potrzeba mu „wielkiej ciszy”:

żebym raz jeszcze usłyszał  
głos z domu.<sup>16</sup>

Przywołuje, oczywiście, na pomoc także Mickiewicza ze *Stepów akermanskich*. Mickiewicz natężył wszystkie władze tęsknoty, by usłyszeć kraj i swoich. Nie usłyszał. Został z gorzką dumą samotności. I z siłą samotności, bo romantykowi samotność dawała jeszcze siłę. „Jedźmy, nikt nie woła!” U Broniewskiego — i tu raz któryś wracamy do króla Wazy, od którego rozpoczęły się niniejsze rozważania — wypadło to tak:

Wiem, ta cisza mną wstrząśnie do gruntu  
i przyniesie odgłos echowy,  
jak runęła Kolumna Zygmunatów  
na Plac Zamkowy.<sup>17</sup>

Nie musiał słuchać. Z góry wiedział, jaki to może być głos. Ruina kolumny, miasta, kraju. Nie rozstrzygniemy, który z nich dwu słuchał lepiej. Czego innego słuchali — i inaczej.

Drugi biegun stosunku do tradycji romantyków tkwi w znanej teraz powszechnie konstatacji Andrzeja Trzebińskiego:

„Pochłonie nas historia. Młodych, dwudziestoletnich chłopców. Nie będziemy Mochnackimi, Mickiewiczami, Norwidami swojej epoki. Mogliśmy być Rimbaudami. Ale odrzuciliśmy to, bo szliśmy gdzie indziej. Rozumieliśmy siebie dobrze, bardzo dobrze.”<sup>18</sup>

Gdyby nawet doróśli do znaczenia tamtych wielkich, to by byli inni. Byliby ludźmi swojej epoki. Bliżej im było do Rimbauda, ale także poszli innym szlakiem. I tej wiedzy o swojej odmienności, o odmienności czasu historii i odmienności nieuchronnej zadań, towarzyszy intensywnie w ich pokoleniu odkrywanie Norwida — a czynią to za generacją starszą o dziesięć i dwadzieścia lat, lecz to nie naśladowanie tamtych fascynacji starszych poetów, ale własne, od nowa odkrywanie. Romantyzm zaś jako dziedzictwo i jako problem sumienia narodowego, rachunku sumienia, stale w nich wszystkich obecny. I bezpośrednio — i może jeszcze bardziej przez Brzozowskiego. Ale są inni. I rozumieją to „bardzo dobrze”. Odmienność. Słyszymy ją w finalnej strofie sławnego wiersza Tadeusza Borowskiego:

Nad nami — noc. Goreją gwiazdy,  
dławiący, trupi nieba fiolet.  
Zostanie po nas złom żelazny  
i głuchy, drwiący śmiech pokoleń.<sup>19</sup>

To nie jest, jak rozumiem, polemika z *Testamentem* Słowackiego. Jest to jednak brutalne wskazanie odmienności i — co ważne — ocena wiersza Borowskiego nie będzie pełna, jeśli nie wymierzimy dystansu między „złomem żelaznym” i szyderczym śmiechem historii a pomiędzy „siłą fatalną”, która działać będzie — i to jak! — na potomnych, przerobi nijakich zjadaczy chleba w anielskich nadludzi. I tu stwierdzenie odmienności jest na pewno donioślejsze od wskazania na podjęcie testamentowego tematu po romantyku. Baczyński w wierszu *Jesień 41 R.* dał motto z *Testamentu*, wskazał palcem na Słowackiego, jako na punkt odniesienia. Jak wypadło u niego testamentowe zamknięcie?

A oczy mi wydrzyjcie i potoczcie dalej  
jak łowiane kule — podpalcie nimi wiatr,  
by w czaszki nagie gwizdał — i niech tak się pali,  
aż serca wam spopieli — i wyjmie z nich świat.<sup>20</sup>

Wacław Bojarski gwałtownie polemizował z Borowskim, z ideą ruiny i pustki, jaka ma zostać po całym ich pokoleniu — nazwał to ucieczką w sen, w kontemplację, w słabość. Tytuł jego napastliwej recenzji: *Co po nas zostanie*. Cytuje fragment o „złomie żelaznym” i protestuje:

„Otóż nie!

Choćby miał po nas przemaszerować chamski but kata, choćby wgniótł w ziemię nasze ciała, zniszczył, zgnoił, rozmazał, choćby zmienił naszą, jakże nędzną, broń w kupę złomu — to przecież dla przyszłych pokoleń będzie ten nasz krzyk nie zaspokojony, nie zadławiony, żarliwy — pragnieniem mocnego dobra.

I choćby zawięść miało wszystko, to jedno po nas zostanie na pewno”.<sup>21</sup>

Nie polemizował Bojarski ani ze Słowackim, ani o Słowackiego. W grze były problemy o palącej aktualności. Ale wyszło tak, że formułą Słowackiego, tym co po mnie, co po nas zostanie, posłużył się we własnym testamentarnym

przesłaniu. Zginął rychło potem. Nie wiedzieć, czy miał siły i przytomność, by coś dla niego znaczył wtedy legat dla potomnych, co po nim zostanie. Umierał bardzo ciężko. 104 lata przedtem ginął w Wilnie romantyczny poprzednik młodych warszawskich poetów-konspiratorów, legendarny żołnierz i spis-kowiec, Szymon Konarski. Wobec spędzonego tłumy, przy łomocie werbli. Męczony w długim śledztwie, skazany, zdążył przed śmiercią napisać wiersz, wiersz-przesłanie, coś w rodzaju testamentu, myśli dla bliskich i potomnych. Co natomiast myślał, co mógł myśleć, Andrzej Trzebiński, gdy 12 listopada 1943 r. ginął w zbiorowej egzekucji na Nowym Świecie, z zawiązaną gałganami głową, anonimową straszną śmiercią... Ciężko o tym nawet myśleć. Śmierć zawsze jest trudna. I rozmaicie się umiera. W śmierci takich dwóch ludzi, jak Konarski i Trzebiński, także jest odcisnięcie dwóch epok. Krwawy ślad odmienności także w tym.

## Przypisy

- <sup>1</sup> M. Białoszewski, *Pamiętnik z Powstania Warszawskiego*. Warszawa 1970, s. 118.
- <sup>2</sup> Tamże.
- <sup>3</sup> W. Broniewski, *Bagnet na broń*. Kraków 1946, s. 8.
- <sup>4</sup> *Suplikacje czasu wojny*. Antologia polskiej poezji religijnej 1939-1945. Wstęp, wybór i opracowanie Józef Szczypka. Warszawa 1983, s. 65.
- <sup>5</sup> Por. A. K. Kunert, *Słownik biograficzny konspiracji warszawskiej 1939-1944*. [Tom] 1. Warszawa 1987, s. 45.
- <sup>6</sup> W. Broniewski, *op. cit.*, s. 17-18.
- <sup>7</sup> K. K. Baczyński, *Utwory zebrane*. Kraków 1970, t. 1, s. 122.
- <sup>8</sup> A. Mickiewicz, *Dziela*. Wydanie narodowe. Czytelnik 1948, t. 1, s. 252.
- <sup>9</sup> *Suplikacje czasu wojny...*, s. 179-180.
- <sup>10</sup> K. Ujejski, *Pisma wybrane*. Kraków 1955, t. 1, s. 129.
- <sup>11</sup> W. Pol, *Pieśni Janusza*. Kraków b.r., s. 157. Biblioteka Narodowa. Seria I, Nr 33.
- <sup>12</sup> W. Bojarski, *Pożegnanie z mistrzem*. Zebrał i opracował Jerzy Tomaszewicz. Warszawa 1983, s. 44-45.
- <sup>13</sup> Tamże. Wydawca, cytując ten fragment w uwagach wstępnych i drukując *Hymn* w korpusie tekstów Bojarskiego, dwukrotnie daje wersję: „Ku śmierci łatwiej”. Wydaje się to oczywistym błędem, ponieważ zamknięcie *Hymnu* zbudowane jest z zestawienia kontrastowego: śmierć łatwa — wielkość trudna. Poprawiam „łatwiej” na „łatwej” nie mając możliwości sprawdzenia, czy wersja błędna wynikała z przepisania się autora, czy z niedopatrzienia wydawcy.
- <sup>14</sup> K. Wyka, *List do Jana Bugaja*. Cyt. za: K. K. Baczyński, *Śpiew z pożogi*. Warszawa 1947, s. 6. Podkreślenia w cytacie pochodzą od K. Wyki.
- <sup>15</sup> W. Broniewski, *op. cit.*, s. 12.
- <sup>16</sup> W. Broniewski, *Drzewo rozpaczające*. Kraków 1946, s. 7.
- <sup>17</sup> Tamże.
- <sup>18</sup> A. Trzebiński, *Kwiaty z drzew zakazanych*. Warszawa 1972, s. 199.
- <sup>19</sup> T. Borowski, *Poezje*. Wybór i wstęp Tadeusza Drewnowskiego. Warszawa 1972, s. 27.
- <sup>20</sup> K. K. Baczyński, *op. cit.*, s. 130.
- <sup>21</sup> W. Bojarski, *op. cit.*, s. 147.